
Artykuły

Jacek Wojciechowski

Rozsypanka

Bibliotek w Polsce wciąż jest jeszcze dużo (choć publicznych co roku ubywa), a bibliotekarzy – więcej niż dużo. Dziesiątki tysięcy, albo może wyskoczyłaby nawet liczba sześciocyfrowa. Każdy poseł lub prezydent miasta fruwałby z radości, gdyby zebrał aż tyle głosów w wyborach, zatem na oko wszyscy „wybieralni” i ich urzędnicy powinni się z nami liczyć. Tymczasem prawda jest taka, że nie liczy się nigdzie i nikt.

Dlaczego tak jest? Doliczyłem się osmiuset szesnastu powodów, ale tych głównych jest trochę mniej.

Otóż ciągnie się za nami, jak smród za śmieciarką, potoczny a głupi stereotyp zawodu. Oraz nie ma naszych ludzi tam, gdzie należą, bo nawet jeżeli należy się żeby byli, to ich wyrzucają a wrzucają obcych. Taka, znana od dawna, gra we wrzutki/wyrzutki, gdzie planszą są dyrektorskie stołki. No i może za mało jest w tym zawodzie jednostek szeroko znanych, które – przez osmozę – przydałyby zawodowi autorytetu.

Ale przede wszystkim nie umiemy wykorzystać magicznej mocy liczb wielkich, więc tego, że jest nas tak dużo. A to z przyczyny, że nie stanowimy nijakiej wspólnoty: to jest rozsypanka. Każdy ze swoim wiaderkiem, w swojej piaskownicy, robi swoje babki z piasku, które rozdepcze byle kto i nikt inny tego nie zauważy. Jednostki zaś głosik cieńszy od pisku – twierdził Majakowski: toteż nie piszczymy.

To nieprawda, że jest ogólny czas dezintegracji; popatrzmy na innych! Nauczyciele są w stanie przeforsować prawie wszystko. Kolejarzom nikt nie potrafi podskoczyć, a i pielęgniarkom obiecuje się cuda (niespełnialne). Nam nie. Bo tamci tworzą zawodowe zbiorowości, a my niekoniecznie.

Pozrywały się wiążące nas nitki i niteczki, zsechł się potencjalny klej. Każdy sam sobie własne muchy łapie. Nie od rzeczy byłoby więc

odtworzyć zawodową pajęczynę i pozlepić z powrotem to, co rozsypane – jeśli to możliwe. Ale pierwszej trzeba zidentyfikować ewentualne lepszcza.

Nibysystem, quasisieć

Naturalnym kleiwem zawodowych zbiorowości bywa spójny układ organizacyjny, wspólnota relacji strukturalnych, ale tych w bibliotekarstwie nie ma. I chyba nawet nie może być. Jakiś jeden gigantyczny, ogólnokrajowy biblioteczny moloch? To kompletny bezsens, niemożliwy do wdrożenia i w samym zamyśle dysfunkcyjny. Natomiast jest – z drugiej strony – prawdą, że rozproszenie poszło za daleko.

Nie istnieją żadne systemy lub sieci, w najlepszym wypadku tylko nibysieci, które niczego w istocie nie integrują. Bo niemal każda z bibliotek ma innego właściciela, a wiele jest wmontowanych w struktury innych instytucji.

To przecież dlatego biblioteki szkolne funkcjonują solo, a biblioteki publiczne udają, że tworzą jakieś struktury pionowe. Na uczelniach jest jeszcze weselej: biblioteki główne bibliotekom wydziałowym mogą najwyżej nawiązać. W tych okolicznościach żaden trend integracyjny nie mógłby się nigdzie wygenerować.

Tak więc nie ma na co liczyć z tej strony. Jeśli bowiem nawet formalna kooperacja realizuje się kiepsko, to co tu gadać o spontanicznym zlepianiu intencji.

W scalaniu profesji mogłyby ewentualnie przysłużyć się biblioteki największe, skupiające w jednej instytucji dość liczne grupy bibliotekarzy. Ale tak też nie jest, albo dokładniej: tak nie jest zbyt często.

Po prostu brakuje potencjalnych liderów, spontanicznych przywódców zawodowej świadomości. Dyrektorzy bibliotek to coraz częściej ludzie chwilowi, spadochroniarze, całkowicie temu zawodowi obcy. W ich towarzystwie z kolei autentyczni zawodowcy na ogół wolą się nie wychylać. Tak właśnie lęgnie się inercja i pat. Same, przeważnie zdezintegrowane, duże biblioteki nie są więc w stanie popracować na rzecz ogólnozawodowego porozumienia.

Zrzeszeni i niezrzeszeni

O sile oraz spójności grup zawodowych – zwłaszcza kiedy scalanie instytucjonalne nie jest dostateczne – decydują zwykle pracownicze zrzeszenia. Jednak w bibliotekarstwie ich efektywność jest ograniczona.

W ogóle ruch zawodowy oraz związkowy, ani w Polsce, ani na świecie, nie przeżywa teraz hossy. Jednak są grupy zawodowe o dużej sile przebicia i nawet są (za granicą) stowarzyszenia bibliotekarskie z wysokim autorytetem.

U nas stowarzyszeń jest sporo, natomiast autorytetu – mało. Liczba prezesów jest odwrotnie proporcjonalna do wskaźnika skuteczności.

Ale prawdziwą słabością jest mikroskopijny, śladowy stopień zrzeszania się bibliotekarzy. Liczba stowarzyszeń nie powinna mylić, w większości bowiem mają charakter tapicerski. W rezultacie żadnej siły przebicia nie ma.

Pozaorganizacyjny charakter osób takich jak ja nie ma żadnego znaczenia: moje pokolenie już sobie odfruiwa. Ale w stowarzyszeniach i związkach dramatycznie brakuje ludzi młodych. Ci, którzy rozpoczęli pracę po 1995 r., nie zrzeszyli się nigdzie, toteż średnia wieku zrzeszonych rośnie szybciej niż ceny paliw. To niedobra wróżba.

Zadanie ochrony interesów pracowniczych spoczywa głównie na związkach zawodowych, lecz okres związkowej hossy, u nas i nie u nas, to już był. Dwa główne związki, do których należą bibliotekarze (ten trzeci, ZNP, konkretnie interesów bibliotekarzy szkolnych nie reprezentuje), więc „Solidarność” oraz ZZPKiS, mają w staraniach o lepsze warunki pracy bibliotekarzy spore osiągnięcia, ale to za sprawą osobistej energii liderów – Teresy Świerczewskiej oraz Jana Budkiewicza. Natomiast zaplecze podlega cytowanym tu przypadłościom. Perspektywy na jutro są więc niedookreślone.

Dobrze zakorzenione w tradycji SBP, też nie osiąga standardów angielskich, amerykańskich bądź skandynawskich, które przecież nie nastąpiły tam z dnia na dzień. Niestety, dzieje polskiego stowarzyszenia okazały się bardziej meandryczne.

SBP trzymało się dzielnie, dopóki prym wiedli bibliotekarze przedwojenni. Z wymianą pokoleń dokonano się upolitycznienie: o składzie zarządów chciały decydować czynniki po-

lityczne, a to zniechęciło wielu. Na którymś zjeździe krajowym byłem świadkiem szokująco prostackiej manipulacji wyborczej, no więc przestałem należeć. Niektórzy również poodchodzili, inni pozostali – dziś trudno powiedzieć kto miał więcej racji.

Gwóźdź do trumny wbili jednak ci, którzy w stanie wojennym podpisali akces SBP do PRON-u. To wtedy autorytet stowarzyszenia zredukował się do minimum. Restytucja trwa do dziś i przynosi widoczne efekty, ale czas jest niekorzystny i nie wszystko można w pełni odtworzyć.

Tak to wygląda i żadnej cudownej recepty nie znam. Trzeba zapewne cierpliwie robić co można, a potencjał osobowy i tym samym autorytet, w końcu jednak wzrosną. To prawdopodobne.

Nieprzemakalni

Mamy w Polsce kilka czasopism bibliotekarskich oraz informatologicznych, które też mogłyby odgrywać rolę zawodowego lepszycza. Rzeczywiście, tak mogłoby być: gdyby miały liczniejszą publiczność. Ale jej nie mają! Zasięg tych wszystkich czasopism jest marny – żenująco niski. Nawet te tytuły, które uchodzą za popularne, ukazują się w nakładach symbolicznych.

To nie ma żadnego związku z jakością. Moim zdaniem – a przeglądam również ofertę zagraniczną – polskie czasopiśmiennictwo bibliotekarskie prezentuje poziom dobry, albo nawet bardzo dobry. Zarówno „Bibliotekarz”, jak i obydwie periodyki informatologiczne („Praktyka i Teoria Informacji Naukowej i Technicznej” oraz „Zagadnienia Informacji Naukowej”), stanowią wizytówkę zawodu o wiele lepszą, aniżeli jego realny stan. „Przegląd Biblioteczny”, pomimo opóźnień w ukazywaniu się, jest w swoim rodzaju czasopismem na poziomie światowym. Zresztą również pozostałe czasopisma, nawet te nastawione (moim zdaniem: bezkrytycznie) na doraźny praktycyzm, zawierają nierzadko publikacje ważne. To powinno budzić zainteresowanie, organizować świadomość i w konsekwencji: integrować.

A jednak tak nie jest. Czytać chce się mało komu, więc nie ma kogo z kim spajać.

Zjawisko układa się w logiczną prawidłowość. Nie integrujemy się instytucjonalnie, zrzeszać się też wolimy nie, a i do zawodowego czytania mało kogo ciągnie. Najwyraźniej jesteśmy nieprzemakalni.

Internalki

Od pewnego czasu istnieje jeszcze inne, nowe potencjalne kleiwo zawodowe, mianowicie bibliotekarski portal internetowy. W różnych krajach rozmaicie ukształtowany i eksploatowany – w warunkach polskich znany jako EBIB i prezentujący się dobrze lub nawet lepiej niż dobrze. Mimo, że przecież start był opóźniony, a warunki funkcjonowania optymalne nie są.

Oferta EBIB-u jest interesująca, różnorodna i dla osób oraz instytucji zinternetyzowanych łatwo dostępna. To, co wprowadzono do sieci, daje pojęcie o bieżących problemach zawodu, informuje o faktach, w inny sposób słabo rozpoznawalnych, a „Biuletyn EBIB” jest czasopismem ciekawym. Może nie aż tak rewelacyjnym, jak to kiedyś piała jedna z pań (lepiej niech pieją koguty), ale na pewno nie gorszym, niż czasopisma drukowane – no i dobrze komponuje się pośród nich.

Ponadto jest jeszcze coś, czego poza Internetem właściwie nie ma, mianowicie łatwo dostępna platforma dyskusyjna. I wprawdzie jej dotychczasowe warianty – nie tylko w Polsce – nie spełniają oczekiwań, ale to wszak dopiero początki.

Niewiele osób bierze w tych dyskusjach kreatywny udział: są zdominowane przez garstkę aktywistów. Z kolei gdyby dyskutantów było wielu, całość byłaby nie do przyswojenia.

Swoboda udziału ma liczne zalety, ale ma też swoje wady. Wypowiedzi mogą być na żalonym poziomie i każdy może sam siebie kreować na mistrza. Klawiatura, ekran, mysz, zrobią z ciebie gwiazdę też. Ewentualne ingerencje moderatorów, teoretycznie możliwe, zniszczyłyby jednak spontaniczność formy. A zatem? Zatem trzeba wierzyć w rozum uczestników. Poza tym istnieje nadzieja, że forum studenckie stanie się z czasem o wiele żywsze.

Myślę, że tę formę czeka jeszcze sporo transformacji i wierzę w jej integracyjną moc. Jednakże – nie teraz.

Bo udział w odbiorze profesjonalnych przekazów elektronicznych oraz w internetowej wymianie zdań, zdarza się jeszcze rzadziej, aniżeli odbiór fachowych czasopism drukowanych. Wydawałoby się, że już sama odmienność i atrakcyjność formy wywoła zaciekawienie studentów oraz adeptów zawodu. Owszem, tak bywa, ale bardzo rzadko. W rezultacie na razie EBIB nie przebija zasięgiem – więc i moż-

liwościami scalania – drukowanych periodyków zawodowych, a nawet im nie dorównuje.

Generalnie zaś najpopularniejszy jest odbiór niczego. Głęboko słuszny z przyczyn zdrowotnych. Bo kto zawodowe treści odbiera, tego żałość zżera.

Uczelniane bocznice

W wielu zawodach profesjonalna świadomość i poczucie zawodowej przynależności kształtuje się już w trakcie studiów. W polskim bibliotekarstwie tak nie jest. Uczelniane instytucje przetoczyły się na zawodowe bocznice.

To prawda: w bibliotekach pracują absolwenci rozmaitych studiów. Z kolei absolwenci studiów (przepraszam za wyrażenie) bibliotekoznawczych (fuj!) wcale do bibliotek trafić nie muszą, jakkolwiek zakazu też nie ma. W każdym razie studiowanie nie jest prologiem do aktywnego udziału w bibliotecznazawodowej korporacji.

Uczelniane instytucje znalazły się na uboczu bibliotecznej codzienności – silnie powiązane z codziennością uczelnianą: to inny świat. Nawet między sobą wchodzą w relacje niekoniecznie ścisłe. Nie działają więc prointegracyjnie.

Owszem, efekty roztrzasań naukowych dopełniają zawodową wiedzę, a wiedza ma scalać zawodów. Instytucje organizują też konferencje, na których bibliotekarze bywają. No i jest studencki ruch naukowy, nierzadko ciekawy, często powiązany z biblioteczną praktyką. Ale wszystko to nie wystarcza. A zwłaszcza nie równoważy zacieklej ekspulsacji obscenicznego słowa „bibliotekarstwo” z uczelnianego nazewnictwa.

Od uczelnianych instytucji należałoby oczekiwać więcej. Mianowicie – tak jak to jest w wielu innych krajach – ściślejszych związków z biblioteczną rzeczywistością. Wtedy ich funkcja integracyjna realizowałaby się samoczynnie. Ale nie ma na to szans, takie bowiem akurat są mechanizmy i trendy, tych zaś nie zmienia się łatwo.

Winowajca

Patronem kucharzy, piekarzy i bibliotekarzy jest św. Wawrzyniec – specjalista od zawodów rozproszonych. Tych od gotowania oraz od pieczenia utrzymał w jakiej takiej koniunkcji, do bibliotek natomiast i bibliotekarzy, wujających nawet z własnym nazewnictwem,

zabrakło mu cierpliwości. Co można zrozumieć, ale trudno akceptować. Natomiast dobrze, że znany jest winowajca: to przynosi ulgę.

Prof. dr hab. Jacek Wojciechowski jest profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jagiellońskiego i dyrektorem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Krakowie.